11. Września. Nr. 39. 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:

kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

V.

Szeremet wstał rano, bo nocy nie przespał ale przedumał.

Wstał z głową pełną projektów. Gdyby je wszystkie mógł przyprowadzić do skutku, inaczej wyglądałby świat.

A najprzód nie powróciłby już dziś na poddasze, ale udałby się do wygodnego pomieszkania, któreby zajmował; swego sąsiada, pana Pawła osadziłby na kawałku ziemi i zaprowadził gospodarstwo; Cezara wyprawiłby do szkoły dramatycznej itp. Sam zaś... Sam chodził tymczasem po pokoju i myślał: Czy iść do kolegów i pożyczyć jakiekolwiek lepsze odzienie, czy zaprezentować się cioci w tem, co miał na codzień i od święta? — A fatalnie wyglądał już w surducie tabaczkowego niegdyś koloru. Jak miedź na piasku wytarta, tak świeciły plamy i poprzecierane miejsca na rękawach.

To go jedynie pocieszało, że surdut był czysty.

Myślał: Z czystem sumieniem i w czystym surducie mogę stanąć i przed Bogiem, czemużbym nie miał przed ciocią Reginą? — Jedyną przeszkodą może być lokaj. — I to prawda. — Pan Bóg nie trzyma płatnej służby, ciocia Heterowska ma lokajów całą zgraję. — Ha! co robić? gotów któren zabronić wstępu. — Wstyd! Ale najprzód zapowiedzieć musi — tak i każą mu prosić. — Oczewiście. Pójdę w tem, co moje.

Kiedy się tak namyśla nad ostatecznem postanowieniem, obudził się Cezar.

— Dzieńdobry! — zawołał Szeremet — Nie długo pan spałeś.

— Ale pan jak widzę, jeszcze mniej.

— Wstaję zwykle rano. Zresztą nie odbyłem tak tęgiego spaceru.

— A ja pomimo podróży pieszej tak się zmartwiłem, że zasnąłem dopiero nad ranem — odparł Cezar.

— Czy masz pan sobie co do wyrzucenia? Wpłynąłeś może na opłakany stan tej rodziny, naprzeciw?

— Trochę.

— Bardzom ciekawy, nie taję się, tej całej historji.

Cezar namyślał się chwilę, a potem rzekł:

— Opowiem panu, ale pod warunkiem...

— Pzyjmuję wszelkie zawarowania.

— Oto nic pan nie powiesz ojcu, ani siostrom.

— Zgoda, dochowam tajemnicy! Ale powiedz mi pan otwarcie panie Cezarze, co dalej poczniesz?

— Będę pracował nad ukształceniem siebie, będę się starał o dostanie się na scenę lwowską.

— Daj Boże!... Ale...

— Pan wątpisz? — Ja czuję w sobie powołanie.

— Widzę, nie przeczę. Ale — dodał zwolna Szeremet — zaczynam wierzyć w potrzebę protekcji.

— Jakto, i pan także?

— Po części. Zresztą, przypuśćmy że przyjęto cię, że raczą nawet wspomnąć — jaki raz jeden — o tobie w dziennikach... Coż ztąd?

— Co? I tego dosyć!

— Bardzo mało, tyle co nic. Tyle co nic, bo artysta potrzebuje sławy i chleba. O ile głośniejszy, o tyle lżej zapracować na ten kawałek chleba. Ile ci pochwał przybędzie, tyle guldenów.

— A praca?

— Praca daje zaledwie kawałek suchego chleba i taki kącik, jaki widzisz, że ja mam. Ja szukam tylko chleba a upokarzać się muszę; ale kto szuka d z i s i a j sławy, aby i żyć mógł z tej sławy, ten musi znieść większe upokorzenia. Poprostu trzeba politykować, co według mnie w życiu prywatnem, znaczy upodlić się.

— Na Boga! to niewiara! — zawołał Cezar. — Pan możesz być nieszczęśliwy, może bardziej odemnie, ale nie odbieraj mi wiary!

— I owszem wierz! ale nie dowierzaj. We własne siły wierząc, mniej ufaj obietnicom, a mniejsze będzie rozczarowanie.

— To mi poradź jak zrobić, jak zacząć?

— Na świecie szukaj najprzód chleba, a reszta będzie ci dana.

— Jakto? nie pojmuję, nawet sposobem niegodziwym?

— Broń Boże! Kto o tem mówi? — Ale tak: Jeżeli będziesz dążył do celu chlebodajnego śmiało, będziesz umiał wyzyskać każdą chwilę, każdą sposobność — powiedzą ludzie, żeś człowiek praktyczny i ukochają nie ciebie, ale twoją zręczność. Dla praktyczności będziesz wzięty, przez wziętość rozgłośny. Rozgłos sypnie ci złotem, ty pobrzękniesz i sława nakoniec cię znajdzie.

— A przecie pan drogą podobną nie idziesz?

— Powiedziałem panu, że szukam tylko chleba. Tymczasem żywię się z dnia na dzień. Co zarobię dziś, przejem jutro; ale nadzieja mię nie opuszcza, bo w ostatecznym razie stanąć mogę do pracy z siekierą w ręku jako prosty cieśla, tego uczyłem się. Teraz byłaby może już nastąpiła ostateczność taka — zaszła jednak okoliczność, która zniewala mię do szukania protekcji, a przez nią zatrudnienia odpowiedniejszego.

— Dajże mi pan naprawdę radę inną.

— Gdyby to odemnie zależało, t. j. gdyby było w mojej mocy wysłałbym pana do szkoły dramatycznej. Brzmi to zaraz inaczej, choćby artysta bez talentu nawet występował z tytułem: »uczeń szkoły dramatycznej« tam lub owdzie. Ale zresztą pan kochasz i do tego córkę szlachcica. Bo choć to oficjalista, ale szlachcic przesądny jak karmazyn. Czy sądzisz, że taki wydałby kiedy córkę za komedjanta?

— Nie zastanowiłem się nad tem — odparł smutnie Cezar. — A potem, czyliż te przesądy wiecznie trwać będą?

— Sam przyznałeś, że tak was po prowincji nazywają.

— To prawda! — I zamyślał się głęboko młody artysta.

— Co pan w tej chwili zrobisz? — zapytał Szeremet, bo ja wyjdę za protekcją. — Pójdę do mojej ciotki, pani Heterowskiej.

— A gdzie mieszka?

— Przy placu Bernardyńskim.

— Pójdziemy więc w jedną stronę — bo ja muszę być u rodziców.

— Idźmy więc — rzekł Szeremet. — I wyszli razem. Cezar zatrzymał się przed pomieszkaniem rodziców, i stał, dopóki nie stracił z oczu Szeremeta, zdążającego na lewo z ulicy Pańskiej.

Szeremet wszedł do kamienicy przy placu Bernardyńskim, ale niepewny, czy dotąd jeszcze zajmuje swe dawne pomieszkanie pani Heterowska; oglądał się za kim, ażeby zapytać. Kiedy tak stoi i rozgląda się, zbiegł ze schodów człowiek na poły w liberją przystrojony.

— Jeśli mię wzrok nie zwodzi, to Iwaś — wyrzekł Szeremet zcicha i zawołał po chwili:

— Iwaś!

Człowiek oglądnął się.

— U kogo służysz?

Zapytany zamiast odpowiedzi — zawołał także zdziwiony.

— A! ta to pan Aleksander!

— Niezawodnie ten sam, — poznałeś mię, ale co ty tu robisz?

— A cożbym robił proszę pana! służę u naszej pani.

— Jakto, i ty, syn gospodarski, porzuciłeś ziemię i dałeś się wystrychnąć na fagasa?

— Na fagasa, albo i nie!... Ale bo to widzi pan było się trochę w wojsku, a teraz jest się na urlopie...

— Aha! I pracować się nie chce. Lepiej bruki po Lwowie zbijać. Hej, hej! a ja myślałem, że ty będziesz kiedyś przykładem całej wioski... A miałeś chęć do nauki, dał ci Bóg zdolności i siłę nie małą do ciężkiej pracy.

— Ta to i prawda, alem nie winien temu. Proszę pana to właśnie zdolności może do wojska mnie oddały. — Wójt powiedział: Na co nam takich przemądrych; ta i oddali do wojska, i co było robić?

— No, i jakże ci też w tej służbie?

— Służba tam nie ciężka, tylko że nudna. — Ale czemu to pan nie przychodzi do nas?

— Właśnie teraz wybrałem się. Czy w domu pani?

— Oho, o tym czasie zawsze w kościele. Teraz to już czasem i do południa w kościele siedzi.

— A po południu bywa dużo gości?

— Jakby pan trafił tak zaraz po objedzie, to nikogo nie będzie.

— Dobrze, przyjdę! A pamiętaj wpuścić mię zaraz jak przyjdę.

— Ot, co też pan gada.

— Jesteś jeszcze nie zepsuty; ale radzę ci porzuć próżnowanie, a uciekaj na wieś do pracy! Chciałbym jak dawniej żyć z tobą w przyjaźni. Tylko zostań gospodarzem. Bądź zdrów! Zobaczymy się po południu.

Szeremet powiedziawszy to, odwrócił się i wyszedł śpiesznie na ulicę.

Człowiek, który pojawił się w bramie, stał przez chwilę i dumał, a potem wyrzekł jakby do siebie:

— Nie zły człowiek, ale twardy, choć mało co starszy odemnie. Hm, na wieś, do pracy? — A gdzie ja tam teraz odszukam to, co po zmarłym ojcu szczezło? A trzebaby i wołów i koni. — Ej! a potem? — Co mi tam z tego, kiedy dziewczyna nie będzie moja. — Nie będzie moja, bo ja żołnierz! Eh! — Westchnął i odwróciwszy się do ściany otarł łzę rękawem. Postał jeszcze i dodał:

— A on o tem nic nie wie i myśli, że nie mam duszy ani serca!

Za pół godziny ten sam Iwaś jechał obok woźnicy w pięknym powozie, którym wracała z kościoła Jezuickiego pani Heterowska. Ten sam Iwaś rumienił, wstydził się czegoś, i myślał, czemu nie obchodziło go to tak wczoraj, przed tygodniem, że poskoczyć musi co żywo, ażeby otworzyć drzwiczki od powozu i wysadzić panią?

Szeremet jak wyszedł na ulicę, tak mimowolnie obrał drogę przez ulicę Pańską po pod okna pomieszkania pana Boromeusza i... oczewiście Stasi.

Zwykła to droga ludzi choćby najrozsądniejszych a zakochanych, że kierują kroki kędy ich wiedzie miłość. Szeremet nie był wyjątkiem, i myślał:

— Nie mam co robić, zobaczę ją, to dobrze. Może nie zobaczę, ha! ale może... Wprawdzie to nic, tylko męka, ale ponętna. Żeby już raz skończyć! Zbyć tej niepewności. Nie pozostaje mi nic jak starać się, starać wszelkiemi siłami o pozyskanie jakiej posady, i wystarać się koniecznie.

Prędko minął dom, gdzie mieszkała ukochana jego, i znalazł się na drodze rozstajnej ku Stryjskiemu i Zielonej. Wracać raz jeszcze tamtędy? — myślał. — A może widzieli mię przez okna? — I zawahał się. Nakoniec poszedł ulicą Stryjską, ale wnet skręcił na prawo do miasta.

Miasto o południu dla zamożnych i zaopatrzonych w pierwsze potrzeby do życia jest ponętne, zimą ogrzane, pieczenią woniejące; w lecie ma dla ochłody zapasy zimowe, lody. Miasto zaś dla ubogich zimą czy latem jest w południe najzimniejsze, a ci ludzie zziębnięci i głodni najgorsi! — To też i Szeremet nie był w różowym humorze.

Ktoś to napisał, że głód i mróz wprawia wilków i ludzi w złość najprędzej. Szeremetowi było i chłodno i głodno. Szedł jednak jakby w celu przeziębienia się do ogrodu Jezuickiego, którego drzewa nieliczne stały już odarte z liści.

Usiadł na pierwszej lepszej ławce jaką napotkał, a złość takie mu gorzkie myśli naniosła:

— Nie hańba to, nie wstyd! żeby człowiek mający zdrowe ręce przemierał z głodu? — Człowiek, który o

głodzie przez lat dziesięć pracował. I na co? aby znowu z dziesiątek lat szukał o głodzie pomieszczenia się między ludźmi!

I wzywał ku pomocy zmysłu praktycznego. A on mu odpowiadał: — O dniu dzisiejszym trzeba było myśleć wczoraj. Szukałem i nie znalazłem — wyrzekł Szeremet. — — Idź zamiataj ulice, noś wodę, tłucz kamienie!

— Oszalała praktyczność! wzięliby mię z ulicy do domu szalonych! Nie jestem usposobiony do takiej pracy. Niestosowność tę poznałby każdy robotnik, wyśmiałby! A zmysł praktyczny swoje komunały: — Ho, ho — kto chce pracować, ten znajdzie odpowiednie zatrudnienie! Jesteś leniwy, oślepia cię wstyd fałszywy. Kto chce zajadać chlebek, pracować musi.

— Pięknie! A ja nie chcę?

A zmysł praktyczny bryznął mu w oczy nauką moralną: Nie szydź, ale módl się i pracuj! Praca jest modlitwą najmilszą Bogu! Lenistwo grzech śmiertelny!

— A głód, jaki to grzech?

Zmysł zaś praktyczny na to z namaszczeniem: To kara za grzechy! Ale kto z podaniem się woli Bożej znosi a pracuje...

— Tfy! do djabła! — zawołał nagle Szeremet i zerwał się z siedzenia. — Zkąd mi takie myśli? co mię opętało? — I szybko oddalił się od miejsca przed chwilą zajmowanego, jakby naprawdę mógł wierzyć w jakie opętanie. Przebiegł kilka ulic, nareszcie około godziny trzeciej wyszedł z ogrodu i doszedł zwolna do placu Bernardyńskiego.

Tak był zamyślony chwilami, że obecność znikała mu z przed oczu, i byłby minął pomieszkanie cioci Heterowskiej Reginy, gdyby nie głos mu znany, zawołał:

— Panie Aleksander! teraz najlepiej, czemu pan nie idzie?

Szeremet spojrzał i zobaczył w bramie Iwasia.

— Aha! to ty? Dobrze że przypomniałeś; tak byłem zamyślony, że byłbym dom pominął, a potem nazad się wracał.

Iwaś chciał coś mówić, ale namyślił się i poprowadził Szeremeta na górę. Przeszedłszy kilka pokojów, zatrzymał się i rzekł:

— Pani jest tam, w pokoju od ulicy, pójdę zameldować pana.

Wyszedł do pokoju przyległego, a powróciwszy za chwilę dodał:

— Pani prosi. Pani bardzo się ucieszyła, że pan przyszedł.

Szeremet wszedł do pokoju wskazanego i postąpiwszy kilka kroków, zatrzymał się.

Pani Heterowska siedziała w fotelu zwróconym ku drzwiom szklannym balkonu. Na małym stoliku obok leżała roztwarta książka i okulary. Postarzała się i wzrok jej już osłabł.

Szeremet skłonił się z uszanowaniem i czekał.

Pani Heterowska przyłożyła do oczu okulary i przypatrzywszy mu się przez chwilę, odezwała się:

— Jesteś podobny do mojej ś. p. siostry. Tak, podobny jesteś do matki, nie do ojca. Ale przywitaj się też jak z kuzyną. — I podała mu rękę do pocałowania.

Nachylając się, ażeby dotknąć lekko i jakby w powietrzu ucałować głowę siostrzeńca, zawołała nagle pani Heterowska:

— A pfe, Olesiu! Jak też ty nędznie ubrany jesteś.

— Ciocia dobrodziejka daruje mi! Szedłem za interesem bardzo ważnym dla mnie, a to cały mój majątek.

— No, no, dobrze, że przychodzisz. Wiedziałam, że nawrócisz się. Ale potrzeba to było, abym ja na starość oglądała w takim stanie syna mojej ś. p. siostry, za której duszę — niech to będzie Bogu niewymowne — za której duszę codzień zasyłam moje modły do Najwyższego. A co też ty robisz? Tyle lat, tyle lat i ani wieści o sobie. A! niegodziwy jesteś.

— Nie śmiałem być natrętnym, tembardziej że...

— I coż, co? ja cię chętnie posłucham.

— Że prawie zawsze byłem podobnie jak dziś odziany, a czasem może jeszcze i gorzej. Uznawałem więc sam niestosowność mego pojawienia się w domu...

— Tak Olesiu! wypowiedz śmiało, w domu, gdzie przecież zobaczyć można ludzi, ale nie cudaków; gdzie bywają ludzie do ludzi podobni, nie szukający towarzystwa z pospólstwem albo chłopstwem na wsi; tak, tak, to, prawda. A czemuż teraz nie udałeś się z interesem między swój lud ukochany, ale szukasz ludzi ze znaczeniem — nieprawda? I szukasz ich pomocy, co?

— Szukam, ale dotąd naprożno.

— Bardzo wierzę, bo nie mogę nawet pojąć, że ty się nie żenujesz stawać przed ludźmi w tak zaniedbanej garderobie.

— Mając wzgląd tylko na garderobę, to rzeczywiście powinienem się wstydzić. Jednakże biorąc wzgląd na osobę...

— Proszę ciebie Olesiu! co też mówisz o osobie, ty, który nie miałeś względu dla nikogo? Nawet — Bóg widzi, że ci tego nie wymawiam, ale nawet nie miałeś względu dla mnie.

— Ja ciocię dobrodziejkę szanowałem zawsze. Tylko nie mogłem się zgodzić, to jest, nie podzielałem przekonań przyjaciół cioci.

— I do czego doprowadziłeś?

— Szkończyłem szkoły o własnych siłach.

— A! Olesiu! zapomniałeś o Bogu. Jakto o własnych siłach, bez pomocy boskiej?

— Oczewiście, że pan Bóg czuwał nademną, jak czuwa nad każdym sierotą. Ale nabyłem doświadczenia w szkole życia i mam przekonanie, że bez sił własnych, byłbym zginął.

— Ale prawda, że ci nie trzeba było tyle znosić.

— Bardzo ciocię muszę przeprosić; sądzę jednak, że mi to właśnie było bardzo potrzebne.

— A! ty widzę niepoprawny jesteś? Szkoda, szkoda, że tak podobny jesteś do mojej nieboszczki — Panie daj jej tam niebo! do siostry ś. p. Filomeny a matki twojej.

— Zdaje mi się, że postępowaniem mojem nie ubliżam jej duchowi.

— Mógłbyś jeszcze wszystko naprawić. Jabym ci pewnie przebaczyła i zapomniała, ale pod warunkiem, abyś cokolwiek słuchał mojej rady. Coż teraz zamyślasz?

— Przyszedłem prosić o protekcję. Wiem, że ciocia dobrodziejka ma znajomości; przez nie mógłbym trafić do ludzi, którzyby mi podali sposobność okazania nabytych nauk a może i talentu.

— Po co tobie protekcji, na co łaski czyjej? Ja chętnie jeszcze za życia podzielę się z tobą tem, co mam; ale jak powiadam, usłuchaj mię.

— Nie wiem o co chodzi?

— Bądź cierpliwy, zaraz ci przedłożę mój projekt.

Kiedy pani Heterowska zabierała się do wyłuszczenia projektu, wszedł lokaj i zameldował:

— Pan Racimorowski, młodszy.

— A! prosić, prosić — zawołała pani Regina, i zerwała się śpiesznie z siedzenia. (C. d. n.)

Rejtan.

Tragedja historyczna w pięciu aktach

przez

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Scena III.

PAŹ, później REJTAN.

PAŹ.

Już wkrótce zaczną się zbierać posłowie,
A król Jegomość malowidło kończy.
To już ja w swojej nie pomieszczę głowie
Jak owo pierwsze z drugiem się połączy!

(*Wchodzi Rejtan*).

Otoż ktoś —

REJTN.

Racz mię Waść objaśnić: czyli
Mógłbym pomówić z królem? Sprawa śpieszy,
Sam na sam chciałbym tedy i w tej chwili.
Rejtan —

PAŹ.

Więc bardzo Waszmości pocieszy
Co powiem. Król już wie, żeś Waść godziwie
Ujął się jego czci w posłów rozprawie,
Ztąd ku Waszmości bardzo jest życzliwie
I właśnie życzył sobie na zabawie
Dziś, poznać pana. — (*Odchodząc*).
Wnet wyjdzie. Nadzieję! (*Odchodzi*).

REJTAN (*sam*).

Nie pojmę, zkąd się tak nagle tu biorę? —
Snać, w myśli króla coś się ze mną dzieje.
Na każdy sposób, w samą mi to porę
Nadeszło.

(*Chodzi w myślach po scenie*).

Króla do czynu pobudzę! —
O! bądźcież teraz władze serca ze mną!

KRÓL (*za sceną*).

Niechaj do jutra stoi na sztaludze —
Dziś już nic z tego i tak zmrok...

PAŹ (*za sceną*).

Już ciemno.

Scena IV.

KRÓL, REJTAN, PAŹ (*wnosi światło*).

KRÓL (*do Pazia*).

A na drzwi drugie wpuszczaj teraz gości.
Nas samych zostaw. (*Do Rejtana*).
Całem sercem radzi!
Zaprawdę, wiele winniśmy Waszmości...

REJTAN.

Racz Miłościwy panie, od czeladzi
Swej wiernej, przyjąć oto hołd powinny
Majestatowi twojemu! Bóg chluby,
Który był zawsze i jest nam uczynny,
Chociaż dziś ciężkie zsyła na nas próby,
Oby cię w szczęściu zachował przez wieki!

KRÓL.

Waszmoście zawsze możecie być pewni
Naszej prawdziwie ojcowskiej opieki —
Chociaż czasami bardzo nas rozrzewni
Postępowanie panów — jako wczora!
Przez Boga! na to-śmy nie zasłużyli...
Więc tedy, jako Waść obywatele
Prawdziwie zacni, są nam zwłaszcza mili.
To też jesteśmy Waszmości dłużnikiem;
Znamy już eksces wczorajszy z posłuchu;
Więc radzibyśmy łask naszych ponikiem
Stać na usługi Waszmości —

REJTAN.

Mam w duchu
Jedyną prośbę Miłościwy panie,
Do ciebie: — przejmij się naszym ogrojcem,
I daj mi rady swojej wysłuchanie,
A w radzie królem bądź i dobrym ojcem!

KRÓL.

Toż mi już jawno jakiego Waść cechu:
Bo tak przemawia zacność.

REJTAN.

Pomóż Boże,
Do ostatniego tak mówić oddechu
Jak dzisiaj oto. — O, niechaj otworzę
Serce! Wysłuchać racz mię tylko, panie!

(*Król daje znak ręką, ażeby mówił i usiada*).

Kiedy mię bracia tutaj wysyłali,
Mówili: zanieś to straszne wołanie
Sejmowi — niech nam Ojczyznę ocali! —
Odjeżdżam — dziatek płaczących u proga
Pytam, jakiegoby chcieli gościeńca?
A one ręką pokazując Boga:
Ojcze! wołają, jeśli potępieńca
Głos, zdoła przebić niebo mu zamknięte:
Polskę Zygmuntów chcemy! ją wróć z sobą!

(*Z głębokim bolem*).

O! kiedy wspomnę te dzieci przeklęte,
A własne — jestem tą rzymską Niobą,
Co okropnością syta, głazem stoi. —
Racz więc rozważyć Miłościwy panie:
Jeśli jutrzejszy sejm na to zakroi
Jak się spodziewać można, co się stanie?

KRÓL (*chodzi silnie po scenie*).

Okropne czasy! Czyściec w dziejach ludów!
Przez Boga, nad tem trza się zastanowić —

REJTAN.

Żeby tę ziemię zbawić — trzeba cudów!
Potrzeba erę i ludzi odnowić:
Bo na dzisiejszych ludziach znać czczość życia,
Znudzenie — straszne upadków pieczęcie;
Ci ludzie, zdolni są tylko utycia: —
Nie zasługują nawet, na przeklęcie! —
W takim rozumów i uczuć zamęcie
Oto, przypadło ratować Ojczyznę —
Lecz sejmu dzień jutrzejszy, zamknie święcie

Każde zbolałe serce, każdą bliznę:
Jak śmierć, co wszelki ból ziemski zamyka!
Pod Ponińskiego laską sejm — o, panie!
Zda się, że słyszę wieszczy wrzask puszczyka
I jakby wielkich gmachów rozpadanie! — —

KRÓL (*chodzi gwałtownie po scenie*).

Jezu! co Waszmość wróżysz jest okropnem!

REJTAN.

Tak nam przypadło: lub Boga się nie bać,
Do jawnej zdrady być z sercem pochopnem,
Lub w ślad Tytanów w gruzach się zagrzebać!
Lecz, jako żywo! w dniu rospaczy ludów,
Lepiej się naprzód na śmierć wyspowiadać
I wziąć na siebie całe brzemię trudów,
Niż swej Ojczyźnie ostatni cios zadać!
Bo chociaż walka taka będzie marną,
To przecież każdy przyzna nam ze łzami,
Kiedy tę kartę dziejów naszych czarną
Przeglądnie, żeśmy grób pod ruinami
Znaleźli swojej Ojczyźny!

KRÓL.

Mój bracie,
Coż tedy myślisz?

REJTAN.

Bóg mi dał to serce! —
Przychodzę jednak w Waszym majestacie
Złożyć mą sławę — gdyby za mordercę
Ojczyzny chciano wystawić mię: bowiem
Do walki jam jest gotów i koszula
Śmiertelna na mnie... Jutro już dopowiem
Czynem — (*Klęka*).
więc błagam tylko mego króla,
By mi wyraził tu swoją życzliwość
I nie poczytał za złe mego czynu:
A już niech wielka boża sprawiedliwość
Rozstrzygnie nad nim i nademną!

KRÓL (*widocznie wzruszony*).

Synu!
Jakiś rozpaczy duch jest dzisiaj z tobą! —
Wstań. — Waszmość łzy nam obfite wycisnął —
Waszmość nas przejął całego żałobą —
Coż byś rad począł? Chcesz by sejm ten prysnął?
Powiedz? — A wreszcie rób już jako sądzisz,
Byle by z chwałą — w czem Waści zawierzam —
Powiedz-że proszę, jakże to urządzisz?

REJTAN.

Panie, wiem tylko gdzie i dokąd zmierzam —
Lecz co wypadnie począć, serce powie,
Jeżeli Ichmość do tego je zmuszą —
Ale przekleństwo wieczne mojej głowie
I wszystkie piekła ognie z moją duszą
Przez wieczność, jeśli z mej Ojczyzny szkodą
Będzie ten czyn mój! — Choćby nie naprawił
Jej losu, to już to będzie osłodą
Ojczyźnie, że jej syn, jej sławę zbawił!

KRÓL.

Niech więc Opatrzność mądra i wszechwładna
Pomaga Waści w tej szlachetnej myśli! —

REJTAN.

Od niej mię panie! nie odwiedzie żadna
Moc. Spytam panów, poco tutaj przyszli
I jakie na nich kraj stawił nadzieje?
A jeśli owo im nie poskutkuje...
Ha, pożal Boże! niech się co chce dzieje! —
O! gdybym umiał to wszystko co czuję
Objawić — może bym zdołał miłością
Te znikczemniałe dusze rozpłomienić —
Ja radbym z całą czasu okropnością
Mojego ducha w taką zgrozę zmienić,
Bym Ichmość własnem ich licem przeraził! —
To — Miłościwy panie! jest, co we mnie
Pała, i czem bym kraj mój przeobraził —
Jeśli nie? — Boże! Ty widzisz tajemnie
Jak szczerze pragnę...

PAŹ (*wchodząc*).

Miłościwy panie!
Już różni goście, panowie i damy,
Na Waszej Mości czekają spotkanie.
Właśnie się teraz zatrzymał u bramy
Pojazd Jejmości pani Starościny —
Na królewskiego czeka gospodarza.

KRÓL.

Ah! pożądane nam te odwiedziny! (*Do siebie*).
Zamysłom moim dobrze się nadarza. — (*Do Rejtana*).
Waszmość bądź pewien naszej przychylności,
Jak i szczególnej tej królewskiej łaski —
A teraz przejdźmy już do naszych gości...
Ach, jakiejże użyć trza nam będzie maski
Wobec Ichmościów! Taki los człowieka!
Nieubłaganym trza uledz kolejom. —

(*Niecierpliwie — przypominając*).

Tam Starościna nas się nie doczeka! —
Śpieszmy więc, śpieszmy — oddać się nadziejom.

REJTAN (*z głębokim ukłonem*).

Waszej królewskiej Mości sługa pilny.

(*Król odchodzi*).

Scena V.

REJTAN (*sam*).

A więc przybywaj chwilo nieszczęśliwa
Lecz wielka dla mnie — król jest ci przychylny!
Przybywaj walko — mój duch cię wyzywa!
Przybywaj chwilo! noc co mię przedzieli
Od ciebie, będzie moim czyścem — za to
Jutro nam niebo czoło rozweseli,
Lub serca ludzkie przestraszy zatratą
Naszą! — Przybywaj chwilo! —

(*Odchodzi za królem*).

Scena VI.

GACYK później PONIŃSKI.

GACYK (*rozmyślając*).

Porwać gacha? —
Z miny królewskiej nic dobrego wróżę! —
Ej, to porwanie! — do djabła! mam stracha!
Lecz coż? kto sługą, niech służy. — Ja służę?
Ja służę? — Gacyk! — Piekło i zwątpienie!
Alboż to człowiek nie taki jak drugi? — (*Potęgując*).
A gdzież szlachetne moje urodzenie? —
Ja — miałbym w róli pokornego sługi
Zamiarów pańskich, zapomnieć o własnej
Woli? — szlachetnej krwi? — Co? mnie pokorę? —
Hej! hola, djable! zwolna mój Przejasny! —

(*Po chwili namysłu*).

Ja ci go porwę, lecz wypuszczę w porę! —
I ja mam swoje cele! —

(*Odchodzi w głąb sceny*). (C. d. n.)

ŚWIAT CUDÓW.

BAJKA

nie z „Tysiąca i jednej nocy".

(Ciąg dalszy).

Po świetnem zwycięztwie, syt sławy i zaszczytu, szczęściem i miłością upojoną mą głowę złożyłem na kolanach boskiej Talis, jak w nieba lazury patrząc w jej cudne oczy. Od ust jej wiały mi róż zapachy, głos jej brzmiał jak melodje najprzyjemniejsze, dotknięcie jej ręki budziło roskosz... byłem szczęśliwy nad wszelki wyraz! ale do chwili przebudzenia tylko... Czy odstąpiła mię moc we śnie! czy zdradzony zostałem przez Talis (czego przypuszczać nie chcę!) dość, że przebudziłem się w srogich więzach, stawiony przed sądem straszliwego Ognity, któren porwawszy mię za włos królewski wyrzucił w powietrze pod siedmiosferne gwiazdy z taką siłą, że spadając przebiłem sobą wnętrze ziemi, i nie przygotowany wpadłem w moc olbrzyma-góry, któren mię dręczył straszliwie. Od srogich cierpień, od mąk okropnych tyś mię uwolnił; więc raz jeszcze przyjmij podziękę z głębi serca.

— Tajemnicze losy — mówił dalej Trat — zrządziły, że obecnie mamy jedno życzenie: wyjścia z zaczarowanego pałacu, i jednego wroga: Ognitę. A więc, złączmy nasze usiłowania, zespólmy siły i wydrzyjmy ohydnej jego mocy boską Talis i nadobną Wodnicę. Młodzieńcze! weź mię za włos królewski, i ciśnij w powietrze.

Cień wzdrygnął się pierwotnie, ale ulegając powtórnemu życzeniu Trata, porwał go za włos najdłuższy, i jak piłkę rzucił w powietrze. Trat zniknął natychmiast.

Z tego zniknięcia, Cień zadowolonym wcale nie był, i już miał chętkę podejrzewać ex-króla gnomów o niewdzięczność, gdy tenże we własnej osobie stanął przed nim po dobrej godzinie nieobecności.

— Daruj! — rzekł — ale nie małą musiałem przebyć drogę. W trzecim prądzie wiatrów mieszkają najprzywiązańsi do mnie gnomy. Rozrzewniło mię powitanie poddanych... Z ich ust dowiedziałem się, że mojem królestwem zawładnął Trakata, że Talis... lecz wierzyć temu nie mogę! tak ją kochałem... Dalej! naprzód! nie mamy chwili do stracenia. Z garstką wiernych zgniotę przywłaszczyciela, wyrwę z rąk jego Talis, i albo będę najszczęśliwszym, albo... utracisz twego przyjaciela, bo nie zdołam przeżyć pewności, że byłem zdradzony. O, Talis! miałażby twa dusza być tyle ohydną, o ile pięknem jest ciało!...

Młody mój przyjacielu! musisz się przeistoczyć. Jako człowiek nie zdołasz wyjść z pałacu, moja moc bowiem żadną jest na ziemi; za to w chmurach ginie siła zaklęć rusałki, i tą drogą wyprowadzę cię na świat. *Ratet — tratet — terratet* — zmień się!

Ledwie wymówił to zaklęcie, Cień zmalał do rozmiarów wskazującego palca, i stał się tak lekkim, że go trzymało powietrze.

Na znak Trata, prąd powietrza zabrał ich z sobą, i uniósł w przestwór.

Cień znalazł, że jazda powietrzna wcale jest przyjemną! Za dobrą chwilę zawołał Trat do towarzysza:

— *Victoria!* widzę wiernych mych gnomów powracających w tryumfie. Cieniu! Będziesz miał twą Wodnicę; ale ja czy odzyskam Talis?...

W tej chwili legiony gnomów obstąpiły swego króla, witając go wesołym okrzykiem i łzami rozczulenia.

Rozrzewniony Trat, uściskał przewódzcę gnomów, i głosem, w którem przebijało wzruszenie rzekł, zwracając się do legji:

— Wierne ludy pięknego królestwa Gnomów! Losy zawistne i wrogowie podstępni rozłączyli mię z wami, skazawszy na cierpienia i tęsknotę. Kto wie jak długo bylibyśmy jeszcze rozdzieleni z sobą, gdyby nie sławny rycerz Cień, któren mię wyrwał z mocy olbrzyma-góry. Oto jest ten, któremu ja wolność, a wy winniście odzyskanie prawowitego monarchę!

Tłumy rzuciły się do nóg Cienia, wdzięczność mu swą wyrażając...

A ponieważ pośpiech w działaniu jest połową skończonego dzieła, dalsze więc podzięki odłożono do stosowniejszej chwili, i wszyscy, w marszu pośpiesznym, udali się do stolicy, by w niej zastać nieprzygotowanego króla wirów i przepaści.

O boskiej Talis usłyszał Trat od dopiero przybyłych gnomów szczegóły, jasno dowodzące, że haniebnie został przez nią zdradzonym.

Krwią i pragnieniem zemsty przepełniło się serce króla. »Naprzód!« zawołał na wojsko, z mieczem wydobytym pędząc u czoła legji.

Obeszło się bez szturmu, bo na wieść o powrocie króla, Trakata ujrzał się opuszczonym przez gnomów, i uchodząc z życiem zemknął co rychlej, nie tylko skarby, ale i piękną Talis pozostawiając w stolicy.

W tryumfie wszedłszy na zamek, Trat natychmiast kazał stawić przed siebie wiarołomną, niegdyś panię jego serca.

Weszła jaśniejąca blaskiem piękności; a zapewne bojaźń takim jej lica przyozdobiła wyrazem niewinności, że i najnieprzychylniejsi uczuli litość w swem sercu dla zdrajczyni. Cień poprzysięgał w duchu, że podobnie pięknej nie widział nigdy.

Trat blady śmiertelnie, siedział niemy na tronie; wreszcie, otarłszy łzę ukradkiem, rzekł głosem złamanym:

— Nie mogę sądzić tej niewiasty... oczynia mię swą pięknością. Sprawiedliwi sędziowie! wydajcie wyrok na winną.

Talis jęknęła i padła zemdlona na marmury posadzki. Jęknął i Trat, lecz złamać się nie dał, i kazał ją wynieść do komnat sąsiednich. Gdy znikła uprowadzona przez swe niewiasty i sądowych pachołków, Trat zapłakał wielkiemi łzami, i boleścią swą wszystkich do łez poruszył.

W sąsiedniej sali odbywał się sąd nad winną Talis — Trat przyjmował z tronu hołdy osób i korporacyj, wynurzających mu swą radość z powodu powrotu do kraju. Przyjęcie trwało do chwili, w której jeden z grona sędziów ukazał się w sali tronowej, donosząc, że wyrok zapadł.

Trupia bladość okryła twarz króla, gdy wprowadzono osądzoną.

Wyrokiem sądu, Talis, za zdradę małżonka i króla, skazaną została na śmierć; ale ponieważ ustawy krajowe nie przewidziały wypadku podobnej zbrodni, więc spełnienie wyroku zostawiono woli królewskiej i wyraźnemu jego roskazowi.

Grobowa cisza zaległa salę; nikt nie poważył się przeszkadzać namysłowi króla.

Po długiej chwili rzekł Trat do osądzonej:

— Ty, której imienia nie mogę wymówić bez żalu, odejdź z przed oblicza mojego! Sługi i niewolnice twoje niech cię ustroją w najpiękniejsze szaty, włożą na cię wszystkie kosztowności, byś taką była, jaką umrzeć przystoi małżonce królewskiej. Odejdźcie wszyscy — potrzebuję samotności.

Głośnym płaczem odpowiedziano na słowa królewskie, i szanując boleść wielką, zostawiono go samego, by łzom dał swobodę.

Po godzinnej samotności, otwarły się drzwi sali tronowej. Wszyscy zajęli dawniejsze swe miejsca, oczekując wejścia Talis.

Wprowadzono ją do sali.

Nigdy nie była piękniejszą! nigdy bardziej roskoszną. Ubiór i klejnoty jeszcze bardziej podniosły jej prawie anielską piękność; bladość oblicza dodała skazanej uroku nieziemskiego. W każdem oku były łzy, w każdej piersi westchnienie na myśl, że za chwilę wszystkie te wdzięki spoczną w zimnym nieczułym grobie.

Trat niczem nie zdradził swej trującej boleści.

— Zbliż się! — rzekł do skazanej.

Jak senne piękno, stopą nie dotykając ziemi, zbliżyła się Talis w milczeniu, i uklękła przed królem.

Trat wstał z tronu, i blady, podnosząc rękę do góry, rzekł uroczyście:

— W obliczu śmierci, przed skonania chwilą mówię ci niewiasto: drogą mi byłaś, nad królestwa wszystkie, nad moc i potęgę wszystką! Kochałem cię... kocham w tej chwili... a nie ustąpisz z mego serca, chociaż cię oddam śmierci.

Talis... małżonko moja, żegnaj! Na twych ustach składam ostatni pocałunek, i — przebacz śmierć temu, któren z rąk twoich wziął truciznę życia...

Ogólny płacz towarzyszył tym słowom króla; ale wielki jęk przebił sklepienia sali, gdy ujrzano piękną Talis chylącą się ku marmurom... krew tryskała z jej alabastrowej piersi...

Trat odrzucił krwią zbroczony sztylet, i zakrył twarz rękami.

Po chwili, umierająca odkryła powieki; ręką wstrzymuje krew z którą życie uchodzi, i zwróciwszy się w stronę króla rzekła, z uśmiechem anielskim:

— Śmierć rozwiązała mi usta... teraz mówić mi wolno... Królu, jestem niewinną... Za sprawą Trakaty musiałam milczeć... Umieram kochając cię.

Westchnęła zcicha, ostatnie spojrzenie szle w stronę króla...

Z jękiem najwyższej boleści, rzucił się Trat do umierającej — zapóźno! w objęciach miał już tylko trupa. Uścisk gorący, zaklęcia miłości nie przebudziły umarłej!... Król zachwiał się, i upadł zemdlony.

Rzucono się na jego ratunek...

. . . .

W koralowej trunnie złożono ciało pięknej Talis, i ustawiono ją w grobach królewskich. Trzystu kapłanów dniem i nocą odprawiało modły, oddział wojska utrzymywał straż honorową.

Trat przez trzy doby płakał nieutulenie przy trunnie małżonki. Czwartego dnia przyszedł do komnaty Cienia.

— Przebacz rycerzu — rzekł — że boleść moja nie pozwoliła mi pamiętać o obowiązku. — Jestem na twoje usługi. Natychmiast wyruszymy przeciw królowi wulkanów; a chociaż walka czeka nas krwawa i jeszcze żaden król gnomów nie zwyciężył Ognitę — tem chętniej podejmuję się wyprawy, że w posiadłościach nieprzyjaznego nam króla jest źródło wody ożywiającej, które posłuży mi do wskrzeszenia boskiej Talis, bez niej bowiem nie pojmuję istnienia.

— Królu — rzekł Cień do Trata. — Dzięki za nie zasłużoną łaskawość. Jakkolwiek wdzięczność nakazuje mi ratować Wodnicę; ale i chęć dotarcia do ożywiającego źródła już jest dostateczną dla tego, bym poszedł z tobą, narażając się na największe niebezpieczeństwa.

Wskrzeszenie najpiękniejszej Talis będzie dostateczną za trudy zapłatą.

— Oby tylko udało się nam dotrzeć do źródła!... Mniemasz więc, że Talis była piękną?...

— Na honor! nie widziałem podobnej.

— Pójdźmy rycerzu! Wojsko czeka mego znaku. Dalej na Ognitę!

— Hurah! — zawołał Cień z ogniem.

Za chwilę, co tylko mogło broń udźwignąć w królestwie gnomów, wyruszyło ze swym królem przeciw straszliwemu Ognicie.

Dawno Strzyg nie był w takich opałach jak teraz, gdy mu wypadło szukać Cienia. Jak sam powiadał: zdarł siedem par najpiękniejszych butów, trzy garnitury królewskie; obleciał siedmnaście królestw, pojednał się z tuzinem zaciętych swych wrogów, byle odszukać protegowanego Leśnej — i znaleść go nie mógł!... Z biedy wdał się nawet ze starą Chandrą, matką czarownic, i szkaradną tę babę trzy razy pocałował w usta, by mu pomogła... I Chandra poruszyła wszystkich swoich podręcznych, była wszędzie — a Cienia ani śladu!

Zmęczony, gniewny i w zmartwieniu wielkiem, usiadł Strzyg na starej wierzbie, i po krótkiej chwili zasnął, we śnie nie zapominając o poleceniu Leśnej.

A biedna, zrospaczona rusałka do kogoż nie udawała się z prośbą o pomoc?... jakich że nie poruszała sprężyn byle Cienia odszukać — wszystko naprożno! Piękny śmiertelny znikł gdzieś bez śladu!...

Z rospaczy chciała już sobie odebrać życie, które po utracie Cienia stało się dla niej ciężarem, gdy ją wśród łez ujrzał niepozorny robaczek, świetlik, na którego nigdy przed tem uwagi nie zwracała.

Zbliżył się i pozdrowił ją uprzejmie.

Ledwie zdobyła się dlań na odpowiedź rusałka.

— Pozwól mi siebie zapytać, piękna rusałko — rzekł skromnie robaczek — czegoś taka smutna? czego ci potrzeba?... a może zdołam być pomocny...

— Ty, biedny robaczku! — z litością zawołała Leśna. — Potężniejsi od ciebie nie wiedzą gdzie się znajduje.

— Skromność niekiedy tam dosięga, gdzie duma przystępu nie ma. Jestem biedny robaczek, a jednak wiem gdzie się Cień znajduje.

— Wiesz? — wykrzyknęła Leśna — Świetliku! Uczynię cię ptakiem rajskim, tylko mi powiedz: gdzie go znajdę?

— Uczepiłem się — rzecze pokorne żyjątko — jego sukni, gdy go porwała Wodnica, i wiem, że go uwięziła w zaczarowanym pałacu. Zapewne jeszcze się tam znajduje.

— Prowadź mię, prowadź świetliku luby — zawołała rusałka. — Raj mi otwierasz twą mową.

— Ty mi dałaś niebo — cicho rzekł świetlik. — Pójdź piękna wód królowo, zaprowadzę cię do kochanka.

Leśna zchyliła się po świetlika, i położywszy go na swej piersi, pomknęła w kierunku wskazanym.

Nie musiało być źle robaczkowi u piersi rusałki, skoro zazdrośny Strzyg przez sen obaczył go na łonie Leśnej, i na równe nogi skoczył z suchej wierzby.

Wdział ostatnią parę siedmiomilowych butów, i dopędził Wodnicę ze świetlikiem.

— Dobrze, że przybywasz — rzekła na powitanie rusałka. — Dzięki temu robaczkowi, wiem już gdzie się Cień znajduje, i liczę na twą pomoc.

-- Roskazuj, królowo serca mego! jestem sługą twym i niewolnikiem.

— Wodnica zamknęła go w pałacu zaczarowanym, którego stróżem jest Trzygłów, wiecznie czujny; otoż podejść go musisz, uśpić jego baczność, bym mogła wejść do pałacu. Czy możesz to uczynić dla mnie?

— Sprawa ryzykowna... ale dla ciebie, pani mojego serca, wszystko uczynię! A więc biorę cię, Leśna, pod moją komendę. Proszę, co każę, wypełnić, bo od tego zawisł pomyślny obrót rzeczy.

— Będę ci posłuszną.

— Więc najpierw w mgłę się pani rozwiej... i otocz nią Trzygłowa. Kiedy pierwszy raz ryknie — oblej go deszczem; gdy drugi ryknie — śniegiem go zasyp; za trzecim rykiem ciśnij nań gradem, i nie zwlekając chwili, śpiesz do pałacu. — Ja teraz biorę się do roboty!

O trzy mile przed górą, na której leżał Trzygłów przerzucił się Strzyg w wielką kłodę drzewa, i z pędem ugodził nią w jedną głowę potworu.

Trzygłów ryknął, chciał pożreć drzewo — ale deszcz rzęsisty zalał mu gardło wodą. Przerzucił się Strzyg w skałę i uderzył o łeb potworu; byłby niewątpliwie oparł się w jego wnętrzu, bo straszliwie ryknął Trzygłów; ale drugie jego gardło zasypał śnieg Leśnej. Za trzecim razem Strzyg przemienił się w wielką sztabę żelaza, i w trzecią głowę uderzył potworu. Trzygłów ryknął znowu i już miał sztabę przełknąć, ale w tej chwili do gardła mu wpadło kilka korcy gradu, który go przydławił.

Zanim Trzygłów pozbył się wody, śniegu i gradu, już Leśna ze Strzygiem była w pałacu; przetrząsnęli wszystkie kąty, przebiegli ogród — nie znaleźli Cienia!

Nic nie wyrówna rospaczy Leśnej. Załamała białe dłonie, i stanęła w niemej boleści, patrząc przed siebie; a siła jej cierpienia była tak wielką, że od niej skonał biedny robaczek i usunął się z piersi rusałki; Strzyg zaś uczuł się mocno wzruszonym... i znajdował, że lepiej by dlań było, gdyby wcale nie kochał się w Leśnej.

Kto wie na czem by się skończyło, gdyby przypadek nie sprowadził jednego z gnomów w to miejsce, gdzie znajdowali się: Strzyg i Leśna — któren widząc zabawnie skrzywioną twarz Strzyga, przez figle, dał mu w nos szczutka.

Strzyg kichnął; a ujrzawszy psotnika, porwał go za skrzydło, i już miał ukarać śmiercią na paznokciu, gdy małego ujrzała Leśna, i zdjęta litością, kazała puścić Strzygowi.

Uwolniony gnom, rzucił się do nóg Leśnej dziękując za darowanie życia, i prosił, by nim rozrządzała odtąd jak swoim sługą.

Leśna nie wiedziała: na co by się jej malutki gnom mógł przydać, ale korzystający z każdej rzeczy Strzyg, natychmiast zawołał:

— Nie puszczać psotnika! Znam ja tych próżniaków! Nie puszczę cię mości szczutkarzu! póki nie powiesz: gdzie się znajduje Cień, którego musiałeś widywać, brojąc w tym pałacu?

— Widziałem go i gdzieindziej jeszcze; ale tobie, stara małpo, nie powiem nic o nim; chyba że Leśna mi każe.

— Mów, mój mały — żywo zawołała Leśna. — Gdzie go widziałeś? — Czy złe opętały go duchy?... czy może życia pozbawionym został?...

— Nic mu się złego nie stało. Widziałem go na dworze naszego króla. Zdrów i czerstwy, poszedł z nim na wyprawę przeciw Ognicie, by dostać wody ożywiającej i odszukać jakąś tam rusałkę.

— Mnie? — wykrzyknęła Leśna. — O, mój najdroższy!... Będziesz mię miał, choćby się wszystko przeciw nam sprzysięgło. Do Ognity! prędzej do Ognity! — i znikła w powietrzu.

Strzyg stanął zmartwiony, i nie wiedział: co ma czynić? Lecieć za szaloną!... poco? by patrzyć jak tłustemu chłopakowi rzuci się na szyję! — Powracać do domu... z czemże? z czem? — zapytał głośno sam siebie.

— Z nosem! — odpowiedział mu gnomik wesoły, pokazując nosa palcami, czem o taką wściekłość przyprawił Strzyga, że puścił się za nim w pogoń, nie pomny, iż jeden z siedmiomilowych butów spadł mu z nogi.

(C. d. n.)

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.